

NAOKOŁO ŚWIATA



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie **1 rb.**, z przes. poczt. **1 rb. 25 kop.**

Nr. 50.

Warszawa, d. 10 Grudnia (27 Listopada) 1904 r.

Rok III.

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie $\frac{1}{2}$ rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.— Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnośnie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20 —Cena numeru kop. 10.

Do art. p. t.: „OAZA BU-SAADA“.



Uled-Natle, udające się na wyciągi.

Oaza Bu-Saada.

(Dokończenie.)

Cudowna panorama oazy najlepiej daje się objąć z tarasu jednego z miejskich meczetów: na północy piętrzące się białe sześciany miasta arabskiego, zwarta masa, nakrapiana niebieskimi plamami i zabarwiona pod wieczór na pomarańczowo, ponad którą napróżnoby oko szukało, jak powiada Piesse, ostrego minaretu miasta muzułmańskiego; na zachodzie skalisty pagórek, z posterunkiem wojennym (bordż) na szczycie, wyłania się z kępy zieleni; na wschodzie łysy grzbiet Kerdady, u podnóża której kołyszą się zielone kity drzew palmowych oazy; dalej pas nagich czerwonych pagórków, przerwany ku północy szerokim wylomem na złociste równiny Hodna, gdzie słońce rozlacza tajemniczy przepych swych miraży. W odległości niebieskie grzbiety gór Msila giną we mgle powietrznej.

Miasto dzieli się na dwie zupełnie odmienne części: właściwy ksar i dzielnicę europejską; łącznikiem ich jest obszerny czworobok, niefortunnie ozdobiony ciężką, niezgrabną fontanną i otoczony arkadami, pod którymi ciągną się obok siebie kawiarnie maurytańskie i ciemne sklepy Mzabitów.

Ożywiony bukietami drzew, plac ten, który, ochrzczono nazwiskiem walecznego kapitana Pein, jest najbardziej uczęszczanym i najbardziej ożywionym miejscem w całym mieście; co tydzień odbywa się tam targ, na który zgromadzają się wszyscy kupcy z oazy i okolic; biedni kramarze, handlarze burnusów i daktyli, żydzi tandecirze ze swymi wachlarzami, założonemi najrozmaitszym towarem lub szewcy, naprawiający buty pod cieniem drzew morwowych. Jest to rendez-vous (miejsce schadzek) spacerowiczów, ludzi beczynnych, wogóle wszystkich Bu-Sadczyków, których jedynym zajęciem jest marzenie, z ukrytą w cieniu drzew głową, a nogami, wystawionemi na słońce, lub przyglądanie się sennym okiem partji warcabów; niektórzy za nadejściem nocy zatrzymują się tu lub ówdzie, wyciągają się na ziemi tam, gdzie ich sen lub znużenie zaskoczy i owinięci w burnusy zasypiają pod gwiazdami, ukłysłani przeciągłym śpiewem psalmów „assów” lub odległą pieśnią jakiej „reita”.

Bardziej malowniczą jest ulica Rouville, ulica żydowska, wychodząca na plac pomieniony. Znikająca linja tarasów fantazyjnie za-

rysowyywa się na błękie nieba; domy, najeżone trzęsącemi się drewnianemi balkonami, z których zwieszają się różnobarwne szmaty; w niebieskim cieniu odrzwi, przed sklepikami kramarzy, hafciarzy lub handlarzy anyżówki grona białych Arabów sejmikują, drzemią lub przyglądają się ruchowi ulicznemu.

Z każdej strony rozchodzą się małe krzywe uliczki, najeżone nierównym brukiem, pnące się do dzielnic arabskich; wązki, nieznośny labirynt, pełen fantastycznych cieni, usiany ciemnymi zakątkami, słonecznymi placykami i stromemi schodami, spuszczałacemi się ku uedowi. Tu panuje surowa cisza miasta muzułmańskiego, tajemnica życia arabskiego, pod ochroną ciężkich drzwi, na misterne zamki zamkniętych; zaledwie od czasu do czasu na jakim zakręcie ujrzeć można wyłaniającego się z za węgła osła ze zgiętym karkiem lub czerwone gałgany lekliwej dziewczyny, która ucieka przy spotkaniu obcego, jak spłoszona sarna, lub, przylgnąwszy do muru, powita nieśmiałym „bonżur”.

Domy po większej części zbudowane są z „tub'u” czyli gliny, wysuszonej na słońcu. Składają się one przeważnie—mowa tu o domach arabskich—z parteru i tarasu nad nim; okien bardzo mało lub wcale: światło dochodzi przez otwór w tarasie, mieszkania więc są zabezpieczone od niedyskretnych oczu. Ciężkie drzwi z tui lub palmowego drzewa czasami bywają półotwarte, ale zajrzawszy do wnętrza, nie widzi się zwykle nic więcej, jak rodzaj ciemnego ustronia, coś nakształt sieni z wmurowaną ławą i ciemnym kurytarzem na końcu. Wnętrze zwykle bardzo nędzne: jedna lub dwie izby z zakopconemi sufitami i nierówną podłogą; w rogach kilka dywanów, w stos ułożonych, zastępujących łożka; kawałki lichej materji tu i ówdzie rozwieszanej i powiewającej za najmniejszym podmuchem—to parawany pierwotne, za którymi chichocą kobiety.

Daleko ciekawsze są wnętrza mieszkań żydowskich przy ulicy Rouville. Tu każdy dom piętrowy: z kurytarza o nierównej podłodze prowadzą schody ciemne i kręte, zbudowane z chwiejących się ogromnych kamieni, położonych jedne na drugich. Po wdrapaniu się na górę, wchodzimy do dziwnej sali, rodzaj „patio”, któremu trudno byłoby dać właściwą nazwę: sieni, kuchnia, salon... podwórko... niewiadomo.

Z sufitu, podtrzymywanego cienką kolumnadą z tui, przeciska się snop światła; koźla skóra, napełniona wodą, zwiesza się ze związanych żerdzi, a jej zawartość kapie, rytmicznie dzwoniąc, na wyschnięte klepisko; tu i owdzie spoufalone kury, rozgrzebują łapami i dziobem stopy śmieci; jedna dwie kozy błakają się melancholijnie, smutnie becząc; legjony much, upojonych słońcem, lub kręcą się z nieustannym brzękiem dokoła kawałków suchego mięsa, wiszącego u belek pułapu; tu i owdzie tarzają się zabeczane pół nagie dzieciaki, napełniając powietrze głośniami krzykami; w kątach zaś chichot i rozmowa ładnych żydówek, których każdy ruch wywołuje srebrzysty dźwięk klejnotów i blask świecących źrenic w półmroku otoczenia..

Handel w Bu-Saada jest dosyć ożywiony; Kabyłowie i ludzie z południa przybywają tu w stałych terminach dla wymiany produktów. Okolica czerpie główne dochody z hodowli i sprzedaży bydła, oraz z handlu wełną surową lub wyrobioną.

We wszystkich prawie domach arabskich znajduje się w rogu przyrząd do tkania burnusów lub dywanów; jest to niemal jedyny miejscowy przemysł, kwitnący w Bu-Saada, chociaż spoczywa wyłącznie w rękach kobiet; mężczyzna, miłujący świeże powietrze i przestrzeń, woli marzyć pod arkadami placu, w roztertargnieniu słuchać opowiadań bazarzy, lub gawędzić na progu sklepu.

Niektórzy mężczyźni, stanowiący jednak wyjątki, raczą nieraz zająć się jakąś drobną robotą, polerowaniem noży wązkich i długich, chowanych w pochwy z drzewa malowanego lub haftowaniem arabesek na wachlarzach z liści palmowych, zaopatrzonych w rękojeści z drzewa laurowego, rzeźbionego nożem. Arab lubi te drobne roboty machinalne, nie wymagające wysiłku, a pozwalające marzyć i gawędzić na świeżym powietrzu; lecz nie żądajcie od niego nic więcej po nad te bagatele, odeśle was do Żyda lub do Mzabity.

Mzabita jest kupcem całą duszą: przepaść oddziela Bu-Saadczyka, marzyciela, próżniaka, miłośnika słońca, od tego Berbera praktycznego, chciwego zysku groszoroba, zaskorupałego w swym sklepie, zawałonym najrozmaitszemi przedmiotami; jest to handel kolonialny, złotniczy, sklep nowości, bazar; tu przez dzień cały Mzabita prezyduje za swoim kantorkiem, ciulając brzęczące *duros*, które od czasu do czasu odnosi do jednego z siedmiu świętych miast swego ojczyznanego kraju. Mały ten czło-

wieczek, krótki, brzuchaty, ma minę zadowolonego ze swego handlu sklepikarza; to też szczęście jego byłoby niczym nie zakłócone, gdyby nie miał przed sobą groźnego spółzawodnika, Żyda.

Cierpliwy, ruchliwy i przebiegły syn Izraela potrafił stać się niezbędnym dla wszystkich, zna on doskonale potrzeby każdego mieszkańca i całego swego sprytu używa, aby je zadowolić. Jest komisjonerem, szewcem, złotnikiem; handlarzem produktów spożywczych, nie uchyla się od żadnej roboty, podbija rynek, zagarnia przedsiębiorstwo powozów publicznych, wciska się wszędzie, gdzie się spodziewa interesu lub zysku; jest to pracowita mrówka wśród koników polnych; mrówka, bawiąca się przy sposobności w lichwę.. i nic na tym nie tracąca.

Bu-Saada stanowi północną granicę rozległego terytorjum, na którym koczuje plemię Uled-Nailów, raczej cały zbiór plemion, uznających za swego protoplastę czcigodnego Nail-Ebn-Amer.

Kobiety Nailów, z których, według tradycji, Algier rekrutuje większość swych tancznic, wzbudzają ciekawość wśród podróżników i turystów. Jest ich w Bu-Saadzie ze trzydzieści, wszystkie, prócz kilku starych, bezdomnych, przesiedlonych do górnego miasta, mieszkają w dzielnicy, sąsiadującej z placem. W mieszkaniach swoich, podobnych do garderoby jarmaczego artysty lub do sklepiku tandeciarza, przepędzają próżniaczo większą część dnia. Reszta czasu schodzi na gawędach przed drzwiami domów, lub na progach kawiarni maurytańskich, gdzie kobiety te, skulone lub siedzące, jak rząd cebuli, na prostych ławkach drewnianych, palą papierosy i między dwoma kieliszkami anyżówki przyglądają się ruchowi placowemu, ożywiając ponurą uliczkę szelestem jaskrawych sukien i szczebiocąc jak gadatliwe papugi.

Czynne życie rozpoczyna się dopiero wieczorem; wówczas każda z nich, jak aktorka przed występem, udaje się do garderoby, dla nadania sobie wdzięków, ożywienia purpury ust, gwiazd niebieskich na licach, podczernienia oczu, przywdziania sutej mehlafa, udrapowanej w sposób starożytny, lub owinięcia się w dużą suknię o długich sztywnych fałdach, na której świecą wielkie kwiaty złociste.

Z nadejściem nocy uliczka się ożywia; na progu kawiarni maurytańskiej nieruchome burnusy tworzą dużą plamę świetlną. Po utorowaniu sobie drogi przez ten tłum, wchodzi się

do małej izdebki, stanowiącej zarazem kulisy i bufet. Przed kantorkiem, na którym zasiada stary Żyd z brodą króla asyryjskiego, ciągnie się kilka zasmolonych stołów; kobiety w jaskrawych sukniach, z papierosami w zębach śledzą, oczyma wchodzących gości, od czasu do czasu przepłókując usta alkoholem.

Z boku sala tańca, długa, wązka kiszka, skąpo oświetlona lampą dymiącą; na stopniach z ubitej ziemi, ciągnących się od jednego końca do drugiego, milczący Arabowie siedzą na skrzyżowanych nogach lub leżą po starożytnemu, paląc albo marząc, a ich nieruchome sylwetki odbijają na białym tle muru. W głębi, przy dużych drzwiach, dzika orkiestra wszczynająca hałas: stary włóczęga z kozią brodą wali

pięścią lub końcami kościstych palców w „bendir” (tamburino), który podrzuca nad głowę; obok niego wysoki drab, któremu oczy giną w spuchniętych policzkach, dmie, ile tchu starczy, w nosową „reita” (rodzaj klarnetu) wydając ostry piskliwy ton. U stóp muzykantów kilka Naïli siedzi spokojnie; od czasu do czasu jedna z nich powstaje z miną obojętną; wówczas takt staje się wyraźniejszy, akcentowany przez dźwięczne uderzenia w bendir i przedstawienie się zaczyna.

Tańce składają się zwykle z dwu części. Jest to najpierw rytm skoczny na dwa tempa, marsz drobnymi krokami, skandowany niepochwytymi uderzeniami obcasów, posuwanie się tak lekkie, że zaledwie się porusza duży

BU-SAADA.



Przekupień żydowski.

welon koronkowy, wdzięcznie zwieszający się od głowy aż do ziemi. Figura cała nieruchoma, drobne tylko ręce uróżowane podnoszą się i opadają miarowo, jak skrzydła ptaka; głowa, przystrojona w złoty ażurowy djadem, upięty kitami z piór strusich, lub uwieńczona tjarą ze złocistego jedwabiu, przechyla się nieco na tył; twarz zachowuje wyraz obojętny, zgięcia ust tylko składają się w zagadkową fałdę, wzrok skierowany jest ukośnie na miarowe ruchy rąk i jakby oczarowany tym nieustannym falowaniem. Nie jest to już stereotypowy uśmiech, postawa konwencjonalna baletnicy; jest to raczej hjeratyczna pogoda kapłanki, dopełniającej w skupieniu obrzędu dla pokornej masy wiernych, dla biednych nędzarzy, których rozwarłe źrenice, utkwione w płomie-

niejącej szacie, lub oczarowane lekkim brzękiem złotych monet, wieńczących te wspaniałe posągowe oblicze, zdają się wywoływać z ciężkiej tej atmosfery, najpełnionej sinawym dymem, rajske obrazy, jakie prorok gotuje wybranym...

Na progu wybuchy głosów, popychania się, okrzyki „balek!” (ostrożnie!) uderzenia łasek, głucho odbijające od burnusów, karafki wody, wylewane nagle na nie chcących ustąpić gapiów, których krąg natychmiast potym zamyka się znowu.

Nagła zmiana rytmu, chwilowa pauza i zaczyna się taniec brzucha, który należy, przyznać, niema nic wspólnego z dwuznacznymi wyginaniami się, doznającami tak wielkiego powodzenia w Europie.

Uled-Naïla, zajmująca jako tancerka, nie zyskuje wcale przy bliższym poznaniu. Nie dla tego, żeby miała być pozbawioną pewnych wdzięków fizycznych: utatuowana w niebieskie gwiazdy i ozdobiona dwoma grubemi splotami czarnych jak heban włosów, twarz, rzadko bywa ładną dla oka Europejczyka, nie jest wszakże bez wyrazu, dzięki blaskom oczu, zwykle bardzo pięknych i nadzwyczajnej białości zębom.

W usposobieniu swym posiada pewną naiwność pierwotną i wrodzony szacunek dla odwiecznych tradycji plemienia; do wyjątków należą te, które nie obchodzą „Ramadanu”, lub nie wypełniają obowiązków żałoby.

Przygody tancerskie Uled-Naïli kończą się zwykle małżeństwem; kandydatów nie brak, byle tylko mały, zielony „sanduk” był dobrze napchany i „soltani” świeciły na czole dziewczoi. Interes załatwia się prędko, lecz podobne związki, łatwo to zrozumieć, bywają zwykle krótkotrwałe; prawda nakazuje przyznać, że wina nie zawsze bywa po stronie kobiety: nierzadko się zdarza, że haniebnie obdarta i okradziona nieszczęśliwa Naïla, w dodatku wygnana przez czulego małżonka, musi się tańcem dorabiać na nowo.

J. N.



CELULOID.



Nie jest ściśle wiadomym, przez kogo celuloïd został odkryty; wiemy tylko, że w roku 1855, niejaki Parkes, mieszkający w Burry-Port, posiadał patent, przyznający mu w Anglii monopol wyrabiania pewnej substancji, przeznaczonej do zastępowania kauczuku i gutaperki, i że tej substancji, w skład której wchodziła pyroksylina, dał nazwę *parkesina*.

Około roku 1865 przemysłowiec z Birminghamu, niejaki Spiers, założył w Londynie fabrykę *siloidu*, substancji, będącej niezawodnie dzisiejszym celuloïdem, którą to nazwę dali jej dwaj Amerykanie, bracia Hyatt. Ci rozwinięli niesłychanie fabrykę „Celuloïd Manufacturing Company” i założyli jej filję we Francji, w Stains, pod Paryżem. Francuzi usiłowali rywalizować z zagraniczną produkcją; otworzyli trzy fabryki, z których dwie z biegiem czasu zamknięto, trzecia zaś w Gravel, w Normandji, istnieje dotąd i cieszy się powodzeniem.

W Anglii, oprócz fabryki w Londynie, jest jeszcze fabryka celuloïdu w Edyburgu. W roku 1878 doktor Magnus założył takąż fabrykę w Berlinie, lecz stała się ona wkrótce pastwą płomieni; obecnie Niemcy posiadają dwie ważne fabryki celuloïdu, w Mannheimie i w Lipsku.

Wyrób celuloïdu jest trudnym i nie pozbawionym pewnego niebezpieczeństwa. Nie

będziemy wchodzili w szczegóły fabrykacji, wystarczy powiedzieć, że celuloïd składa się zasadniczo z mieszaniny bawełny strzelniczej i kamfory, połączonych przy pomocy alkoholu; do tej mieszaniny dodawane bywają inne substancje dla zabarwienia, albo też dla przyciemnienia.

Otrzymawszy zupełną jednolitość masy, wlewa się ją przy pomocy tłoka hydraulicznego do zrobionej umyślnie formy, z której wychodzą tafle, grubości 8 do 10 milimetrów, wagi 200 gramów jedna. Przy wyrabianiu celuloïdu, przeznaczonego na kwiaty sztuczne lub naśladowanie ambry, bierze się 100 kilogramów bawełny strzelniczej, 50 kamfory i 50 alkoholu na 96 stopni. Przygotowując celuloïd, służący do wyrabiania „artykułów paryskich” (tak zwanych) zachowuje się stosunek następujący; bawełny strzelniczej 100 kilogramów, kamfory 20, toluenu 42, alkoholu 50.

Tafle celuloïdowe rozplaszczane, układane szczelnie jedna na drugiej, ubijane tłokiem, tworzą kłocę, wagi około cetnara każdy, krajane później na dowolnej wielkości kawałki.

Ważnym szczegółem przy wyrabianiu celuloïdu jest „obsuszanie”. Tafle, zanim zostaną ubijane na kłocę, umieszczane bywają w odpowiednich piecach, wentylowanych i ogrze-

wanych do temperatury od 60 do 65 stopni; w tych piecach zostają od ośmiu dni do trzech miesięcy. Celem obsuszania jest uwolnienie celulozoidu od alkoholu, jaki on zawiera; istotnie nie mógłby być bez niebezpieczeństwa obrabianym, gdyby choć najmniejsze ślady alkoholu posiadał.

Zastosowanie celulozoidu, szczególnie w ostatnich czasach, jest niezliczone i różnorodne. Ciało to ma tę zaletę, że, pod wpływem gorąca, rozgrzane do temperatury 80—90 stopni, mięknie i przybiera formy, jakie tylko kto pragnie. Celulozoid obrabiany bywa jak kość słoniowa, jak szyldkret, jak drzewo: można go toczyć, odlewać, kuć, naklejać. Dostarcza przyrządów chirurgicznych, ortopedycznych, dentystycznych; wyrabia się z niego szkatułki, grzebienie, klawisze fortepianowe, kule bilardowe, rączki do parasoli i noży, rozmaitego rodzaju ozdoby drobniaki. Tak zwana „bielizna amerykańska”—kołnierzyki, mankiety, przody męskich koszul—posiadają płótno albo papier, pokryty cienką warstwą celulozoidu, silnie i szczelnie nałożoną.

Celulozoid ma zastosowanie w przemyśle kwiatów sztucznych, oddaje też usługi i fotografii, służy do wyrabiania negatywów fotograficznych; udało się także metalizować go, pokrywając cienką warstwą złota i srebra.

Rozgrzany raptownie, podniesiony do temperatury od 135 do 195 stopni, celulozoid rozkłada się i wydaje wyziewy saletrzane, bardzo niebezpieczne. W zetknięciu z ciałem palnym, zapala się płomieniem żywym, który za podmuchem gaśnie łatwo, lecz celulozoid nie przestaje się tlić, wydając dym z zapachem kamfory. Rzucony na rozpaloną do czerwoności

blachę, rozkłada się błyskawicznie, wydzielając gaz, który się rozpala i pozostawiając tylko garstkę popiołu.

Niebezpieczeństwa, których źródłem jest celulozoid, powstają nie tylko przy wyrobie jego, lecz zdarzają się także przy przechowywaniu przedmiotów celulozoidowych. Nie zawadzi przypomnieć w tym miejscu o strasznym wypadku pożaru, jaki zniszczył Dom Laurette na bulwarze Sebastopolskim w Paryżu.

Kiedy rozeszły się po świecie pierwsze głosy o możliwości wojny między Rosją a Japonją i ceny kamfory zaczęły gwałtownie iść w górę, kupcy robili spieszenie zapasy wyrobów celulozoidowych. Fabryki, chcąc podobać obywatelom, przyspieszały robotę i tym sposobem celulozoid nie został należycie oczyszczony z wszelkich śladów alkoholu, jak również eteru, służącego do spajania kawałków celulozoidu.

Wobec tego łatwo określić przyczyny niebezpieczeństwa, stąd płynącego. Z przedmiotów celulozoidowych, złożonych w magazynach, zaczęły się wydobywać wyziewy alkoholu i eteru, krążyć po składach i w zetknięciu z płomieniem powodowały wybuchy, a następnie pożar. Osoby, które wówczas zginęły, przeważnie uduszone zostały przez wyziewy saletrzane, powstałe z palącego się celulozoidu.

Katastrofy takie, ostrzegając, jak bardzo potrzebne są środki ostrożności przy wyrabianiu i przechowywaniu przedmiotów celulozoidowych, wskazują również, że władza nie powinna dopuszczać w sąsiedztwie domów mieszkalnych, wielkich składów tego rodzaju wyrobów.

Wł. Z.



Rozwój handlu wszechświatowego i stosunek jego do odkryć naukowych w wieku XIX.

(Dokończenie.)

Bajeczny rozwój prasy przyczynia się niezmiernie do zaznajamiania publiczności z ruchem handlowym; przeglądy techniczne, wielkie dzienniki, pisma popularne wszelkiego rodzaju, zaopatrzone w druty telegraficzne specjalne i w udoskonalone maszyny, przenoszą codziennie z różnych krańców ziemi świeże wiadomości; w Londynie, Paryżu, Ham-

burgu i Nowym Jorku znane są co godzina wszystkie drgania kursów na giełdach finansowych i handlowych wielkich targowisk wszechświatowych.

Handel międzynarodowy świata cywilizowanego waha się obecnie około cyfry 100 miliardów, z których 70 miliardów przypada na Europę. Dla uregulowania tej olbrzymiej

sumy potrzeba było, aby pieniądze krążyły w dostatecznej ilości, aby kredyt był rozszerzony i udoskoniony. Tak istotnie się stało: odkąd kopalnie złota w Transwaalu zaczęły dostarczać światu potrzebnego metalu żółtego, produkcja złota wzrosła niesłychanie, a jednocześnie i produkcja srebra: w dziesięcioleciu 1801—1810 ogólna produkcja obydwu metali wynosiła przeciętnie 262 miliony franków, podczas gdy w dziesięcioleciu 1891—1900 podniosła się do 1780 milionów.

Kredyt rozwijał się też coraz, więcej. Rozmnożenie banków, kas pożyczkowych, wzajemnych kredytów w Europie i w innych częściach świata; ulepszenie prawodawstwa handlowego; rozpowszechnienie zastosowania *czeków*, udoskonalenie systemów finansowych, a tym samym wymiany: wszystkie te czynniki ułatwiły i rozwinęły kredyt. O ruchliwości nowoczesnych interesów handlowych daje pewne pojęcie cyfra „konwersji”, dopełnionych przez Izby handlowe w Ameryce, Anglii i Francji: w Paryżu Izba handlowo-bankierska skonwertowała w 1900 — 1901, przeszło 10 miliardów franków, Bank 45 miliardów; w tymże samym roku Clearing House w Londynie skonwertował 241 miliardów, w Nowym Jorku 401 miliardów.

Zalew kolonialny, charakterystyczne zjawisko końca XIX stulecia, wywołany był dwoma przyczynami: potrzebą ekonomiczną i pragnieniem opanowania dróg morskich.

Względy ekonomiczne są jasne: spożycie europejskie nie wystarczało dla olbrzymiej wytwórczości przemysłowej; należało szukać ujścia i pola zbytu w kolonjach; dwa narody kolonizujące, Francja i Anglja, zaczęły rozszerzać swoje posiadłości zamorskie, naśladowane przez Niemcy, Holandję, Portugalję, Włochy i Rosję.

Gorączka kolonialna, nie ograniczając się na Europie, opanowała i Stany Zjednoczone; powstał olbrzymi i ogólny ruch zaborów i podbojów, których wyliczenie byłoby zbyt długie; wystarczy powiedzieć, że obecnie Anglja posiada kolonie, liczące 29 milionów kilometrów kwadratowych i 350 milionów mieszkańców; państwo kolonialne francuskie wynosi 4 miliony kilometrów kwadratowych z 45 milionami ludności; Holandja posiada w kolonjach 2 miliony kil. kwadr. z 35 milionami mieszkańców; Niemcy pół trzecia miliona kilometrów kwadr. z 12 milionami ludzi; Rosja 19 milionów kilometrów kwadratowych z 25 milionami mieszkańców.

Kolonizacja nie przyniosła dla przemysłu europejskiego tych korzyści, jakich się spodzie-

wano; ludy afrykańskie nie okazały się ani do statecznie liczne, ani dość bogate dla dostarczenia ruchliwych rynków targowych, tym więcej, że obyczaje ich różnią się zupełnie od obyczajów europejskich i że drogi komunikacyjne w Afryce są jeszcze bardzo mało rozwinięte.

Należało szukać zbytu w terytorjach bardziej zaludnionych, Europa przeto skierowała swoje floty do Chin, które z 426 milionami mieszkańców, przedstawiałyby wspaniałe targowiska zbytu, gdyby tylko dostęp do państwa Niebieskiego był raz uprzystępniony.

Usiłowania wtargnięcia do Chin, dokonane przez różne mocarstwa, są zbyt świeże i zbyt znane, ażeby było potrzeba je opisywać.

Obecnie cesarstwo chińskie strzeżone jest z trzech stron przez trzy narody: z północy przez Rosję, ze wschodu przez Anglję, z południa przez Francję; lecz wszystkie te państwa są również pilnowane przez dwa inne bardzo ruchliwe i przedsiębiorcze narody: Stany Zjednoczone, których flota może w 20 dni przebyć Ocean Spokojny, i Japonję, która w dzisiejszej wojnie daje dowody cywilizacji, męstwa i odwagi, a silna aljansiem z Anglją, nie wyrzeka się umiłowanej idei: przeważającego, a nawet wyłącznego, wpływu w Chinach.

Zaiste, coraz bardziej dochodzi się do wniosku, że podział, czy eksploatacja Chin, nie przedstawia się jako przedsięwzięcie zbyt łatwe.

Z tego, co się wyżej powiedziało, możemy wyciągnąć zasady ogólne interesów handlowych, na początku wieku dwudziestego.

W dzisiejszych czasach, żaden naród, choćby najpotężniejszy i zabezpieczony ochroną celną, nie może pragnąć zmonopolizowania pewnych produktów rolnych i przemysłowych; konieczność międzynarodowych stosunków handlowych występuje z taką mocą, że naród, odosabiając się, musiałby zginąć. Europejski system ekonomiczny może być mniej lub więcej liberalny, mniej lub więcej protekcyjnystyczny, lecz zawsze będzie powszechny; jednakże są zatył warunki produkcji rolnej produkcji przemysłowej.

Łatwość komunikacji kolejowych i morskich dąży do zrównania wszystkich targowisk różnorodnych produktów nie tylko w Europie, ale w całym świecie: wielkie firmy handlowe, chcąc wytrzymać walki konkurencyjne, będą musiały zmniejszyć wymagania, a znacznie rozszerzać pole działania. Wynikiem tego być musi rozmnożenie wielkich przedsięwzięć handlowych, opartych na wielkich kapitałach, oraz

stopniowe zanikanie domów handlowych mniejszego znaczenia.

Im potężniejsi będą rywale, tym zaciętszą stałaby się walka, i musiałyby straszne w tej walce pogromy nastąpić, gdyby się nie udało ująć jej w karby, co wyplynie z naturalnego biegu wypadków: „kartele” niemieckie i austriackie, syndykaty producentów francuzkich, „trusty” amerykańskie ujmują ruch handlowy w silną organizację; obok wielkich organizacji produkcji, przy pomocy wspomnianych związków, występują organizacje zbytu, i prawdopodobnie zjawią się wkrótce syndykaty i trusty, łączące pod jednym kierunkiem i władzą administrację produkcji i sprzedaży produktów.

Eksploatowanie kolonji, opanowanie rynków zbytu Dalekiego Wschodu, może być je-

dynie dziełem potężnych Towarzystw finansowych, oddających olbrzymie kapitały na usługi przedsiębiorców prac publicznych i stowarzyszeń handlowych.

W nowej organizacji wielkiego handlu nowoczesnego, nie będzie miejsca dla kupca starożytnego typu; zalety, które wystarczały niegdyś kupcowi, jak: porządek oszczędność, pracowitość, pozostaną zapewne potrzebnymi zaletami; lecz kupiec nowoczesny potrzebować będzie głównie wielkich kapitałów i wysokiego wykształcenia.

W świecie, dążącym do zrównoważenia majątkowego, obywatele w większej liczbie żyć nie będą mogli bez pracy, a chcąc, ażeby praca się opłacała, musi być prowadzoną rozumnie, na naukowych podstawach; świat przy-

CHABAROWSK.



Chińczycy, wysiadający na ławach, na ulicy „Dużej.”

szłości należyć będzie do inżynierów, finansistów i kupców; dlatego we wszystkich państwach rozmnożyły się szkoły techniczne w najszerszym tego słowa znaczeniu: szkoły inżynierów, przemysłowców, rolników, wyższe szkoły handlowe. Wykształcenie zaś w całej Europie, szczególnie w Francji, przybiera charakter ekonomiczny, tak w szkołach drugorzędnych, jak w uniwersytetach.

W dzisiejszych czasach, istotnie, człowiek, obierający karierę handlową, musi być wykształconym; dziś ma znacznie mniej szansy

liczenia na własne siły, niż w przeszłości. Lecz, jak maszyny nie usunęły robotnika i uczyniły go nawet potrzebniejszym, tak również zorganizowanie wielkich stowarzyszeń przemysłowych i handlowych nie doprowadzi do zmniejszenia liczby tak zwanych „hommesd'affaires”: przeciwnie, powołani będą w coraz większej liczbie do zajmowania stanowisk w ogromnych przedsiębiorstwach, podejmowanych, przez te stowarzyszenia.

Władysława Zaremba.



MIASTA DALEKIEGO WSCHODU.

IV. Chabarowsk.

Chabarowsk jest punktem krańcowym kolei Ussuryjskiej, o dziewięć tysięcy kilkaset wiorst od Warszawy.



Drewniany kościół katolicki w Chabarowsku.

Miasto leży o półtorej wiorsty od stacji, na prawym brzegu Amuru, w tym miejscudzie się on zlewa z Ussuri. Rozrzucone jest na trzech równoległych wzgórzach, które ucinają się stromo nad rzeką. Po grzbiecie środkowego biegnie główna ulica Chabarowska „Duża”, kończąca się prostopadłe nad Amurem. Od niej rozchodzą się również szerokie przecznice.

Domy przeważnie drewniane, parterowe lub jednopiętrowe, architektury skromnej, lecz miłej dla oka. Przy wielu domach są ogródki, co przyczynia się jeszcze do podniesienia malowniczości miasta. Po bokach ulic chodniki drewniane.

Do domów murowanych należą gmachy rządowe: pałac generał-gubernatora, zgromadzenie wojskowe, szkoła realna, korpus kadetów, oddział banku państwa i t. d.

W mieście jest kilka cerkwi i drewniany kościółek katolicki.

Z zakładów naukowych, prócz wyżej wymienionych, są jeszcze: szkoła techniczna kolejowa i gimnazjum żeńskie. Muzeum, dość bogate w okazy kultury azjatyckiej, ma dziedzieniec obszerny, na którym stoją armaty „zdobyte na Chińczykach” w wojnie r. 1900. Nad samym

Amurem piękny ogród z pomnikiem hrabiego Murawjewa Amurskiego, założyciela miasta.

Majestatyczny widok rozlega się stąd na szeroki, dziki Amur i jego poszarpane wybrzeża skalne.

Na ulicach spotyka się przedstawicieli najrozmaitszych ras i narodowości. Mnóstwo biednych obdartych Chińczyków włości się, oczekując zarobku, lub wysiaduje na ławkach „Dużej” ulicy, gryząc ulubiony przysmak, orzeszki. Suną koreańczycy w białych szatach, o twarzy poważnej, stroskanej. Dalej spotyka się odzianych w skóry Goldów, średniego wzrostu, lecz silnej budowy ciała. Popędzają psy, zaprężone do długich i wązkich saneczek, na których przywożą skóry. Dalej jeszcze, Gilacy, Burjaci i wielu, wielu innych mieszkańców Azji. Japończyków za to, w których rękach znajdował się handel i którzy należeli do najlepszych rzemieślników, teraz od czasu wojny, ani śladu.

Do tych żywiołów azjatyckich wtargnęła teraz Europa w postaci oficerów i lekarzy.

O godzinie 6-ej popołudniu odbywa się na „Dużej” spacer codzienny. Podobnie jak nasze Krakowskie Przedmieście, ma „Duża”



Koreańczyk i Chińczycy.

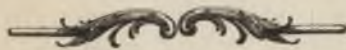
swą stronę uprzywilejowaną. Przechadzają się uczniowie i uczennice, oficerowie urzędnicy. Co pewien czas przesuwiają się szerokie sanie, wioząc jedną z cór Talji lub Terpsychory, wy-

stępującą na minjaturowych scenkach pierwszorzędných hoteli. Bywają i teatra amatorskie, na dochód ranných.

W pierwszych dniach naszego przyjazdu, przy końcu marca, głęboki śnieg pokrywał

ulice. Nagle nastąpiły upały, tak że po kilku dniach śniegu nie zostało ani śladu. Takie gwałtowne przejście od zimy do lata jest charakteryczną cechą kraju Nadamurskiego.

D-r Antoni Groszlik.



CHABAROWSK.



Widok z „Dużej ulicy”.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

Cały lud Brahmy zebrał się obecnie na wodach rzeki głębokiej; tysiące małych tratw, przywiązanych do brzegu, ugina się i zanurza pod ciężarem modlących. A po nad całym tym tłumem, który ma ręce złożone lub który rzuca kwiaty, panują schody szare, szare podmyrowania, cały pas twierdz szarych; koloru iłu, które zdają się być korzeniami obnażonymi świętego grodu Benaresu.

Barka moja, bez pośpiechu z prądem rzeki płynąca, przejeżdża następnie koło nadbrzeża, bardziej samotnego, koło dzielnicy starych

pałaców, gdzie już niema tratw wzdłuż brzegu. Wszyscy radzowie okoliczni mają na Gangesie swoje rezydencje, nieco zapuszczone, dokąd od czasu do czasu zjeżdżają się na wywczas. Od brzegu wznoszą się jedynie twierdze masywne bez otworów, i dopiero tam całkiem w górze poczynają się okna, balkony, życie tych siedzib nieprzeniknionych. Donosi się stamtąd muzyka tego wieczoru, muzyka stłumiona, jękliwa, i jakby z nadto krótkich wydechów. Słychać, jak płaczą kobzy z odzieniem obojów. Czasami—jeden tylko jakiś

frazes: lament, który się wznosi i zamiera; a potem, po krótkim milczeniu, przesytytn krakaniem wron, drugi frazes, jakby odpowiedź na tamten, dochodzi z drugiego pałacu. Słysząc także tam-tam'y o dźwięku podziemnym, które dzwonią przerwami miarowemi, z powolnością dzwonów zamierających... Jakaż tajemnica, jakież niewypowiedziany smutek z tego wszystkiego, przepływa tam nad moją głową, bardzo daleko i bardzo wysoko, podczas gdy moja barka tnie w dole wody, śmiercią pachnące! Dla mnie to wszystko jest jakby pieśnią pogrzebową dla młodej dziewczyny, która nawiedziła moją wyobraźnię i trwa w niej ciągle — pieśnią żalobną zarówno dla tyłu innych i dla tyłu rzeczy, które umarły...

Tak jak nie przewidziałem, idąc do miasta świętego, szarego nieba i widoków zimowych, tak samo nie myślałem, bym się odnalazł całkowicie takim; jak dawniej, zawsze tak skłonny do pogrążania się aż do drżenia niebezpiecznego w czar nowy rzeczy i ludzi, w ułudę i uwiedzenie światła zewnętrznego. Tu, wyjątkowo w tym Benaresie, który jest ośrodkiem religijnym, sercem wielkiego kraju, od ziemi oderwanego, miałem nadzieję, że i ja także dostąpię tego oderwania się i pokoju, pod bokiem mędrców, gwoli tej trosze wtajemniczeń, które mi przyrzekli, a które się poczną od jutra. Gdy oto, przyszedłszy tu, czuję się opętany beznadziejnie, niż kiedykolwiek, przez wszystko piękno widome; przez wszystko, co materialne, ułudne i śmierci podległe...

Powracam do stosów... Prawdziwy już zmierzch teraz i ptaki przestały już krążyć w przestworzu; na wszystkich gzymsach świątyń i pałaców usadowiły się na noc rzędami, tworząc długie sznurki, jeszcze drżące, ruchome ostatnim skrzydeł szamotaniem. Piramidy bramińskie już się nie odcinają szczegółami, lecz przybierają kształty wielkich czarnych posad żalobnych, wznoszących się w niebo szare. Barka moja powraca wodą ciężką, wlokąc u swego przodu trawy i kwiaty, żółte równianki gwoździków i łotociów. Młdy odór powiększa się, odór śmierci, wstrętny, smrodliwy. By dotrzeć do tego punktu, tam, w dole, gdzie wzbija się dym ze stosów, muszę znowu przepływać koło tłumy zamodlonego, koło tysiąca tratw, zapełnionych nieruchomemi braminami. I wszyscy ci ludzie, modlitwą w niebo wzięci, wszystkie twarze, popiołem osypane, wśród których oczy płonące spotykają się z memi, nie widząc, choć barka moja przesuwają się, prawie ocierając się o nich, zdają mi się, jakby z głębi jakiejś dali niewysłownej, z zabytków istnienia.

Przybywam zapóźno do zakątka śmierci. Wielki stos płonie już, stos bogatych; tryskają iskry; płomień się kłębi wstęgami; młode dziewczę tam, pośrodku, i nie już z niej widać, prócz stopy żalobnej, jedynej, której palce kurczowo odchylone, jakby w nadmiarze cierpienia, i która odcina się czarną sylwetą od błasków ognistych.

Na tle murów panujących, cztery nowe postacie o rysach niewidzialnych, w długich zasłonach opuszczonych, siedzą przykucnięte i patrzą ze spokojem, rzekłbyś, obojętnym: to rodzina, istoty prawdopodobnie jednej krwi, od których pochodzą te ziarna piękności.

Jakże są inne poglądy na śmierć, na rozłąkę i na połączenie, wierzenia tego ludu, z którymi jutro starać się będą mnie zbratać!

Dusza odbiegła, odeszła, dusza, która—miała zaledwie swoją własną osobowość, i która wreszcie nie pochodziła od nich, lecz była być może bardzo starą duszą, która, idąc przez wieki, stała się świadomą, przelotnie wcielona w to młode ciało, córkę ich ciała. Dusza odeszła; oto zwolniona, na zawsze, czy na chwilę, któż wie? Później, kiedyś, bez wątpienia, połączy się z niemi—lecz będzie to kiedyś, kiedyś; po wyczerpaniu się wieków. I tak się już wtedy odmienia i przekształca dusze jednych i drugich, że to przyszłe spotkanie, prawie bezosobowe, nie będzie już miało ni łez, ni czułości; jak gdyby spotkały się cząsteczki jednej całości, które były czasowo rozłączone, połączą się w szczęściu bez radości.

A jednak, jeden z tych kształtów ludzkich, pod zasłoną ubogą rozpostartych, które patrzyły bez czucia na palące się małeństwo, z wyżyn kamienia fryzu, jeden z nich powstaje, pochyla się nad nim, odkrywa swe lice, by przyjrzeć się mu bliżej i lepiej. Blask od stosa młodej dziewczycy oświeca w pełni rysy tej postaci: to stara kobieta wyniszczona. Zdaje się mówić: „Oby tylko dobrze się spaliło!” Biedne jej oczy wyrażają niepokój, jako że nie miała dosyć grosza, by kupić dostateczną ilość drzewa, i obawę, by bezlitośni służalcy nie rzucili do wody szczątków jeszcze poznawalnych. Znowu się pochyla, spogląda trwożnie, przy blasku stosa bogatych, podczas gdy posługacz, by pokazać jej, że już nic nie zostało, grzebie gałęzią w resztkach czarnych głowienek, które leżą na ziemi. Daje znak tedy: „To dobrze, można to już wrzucić do rzeki!” Atoli w jej spojrzeniu dostrzegam przelotny strach ludzki, wiekuisty, strach, który w Indjach, czy u nas, zawsze jednaki, strach, który czyha na nas, niecofniony w swej porze, pomimo nasze krzepienie się i nasze nadzieje.

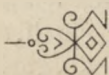
Babka ta kochała widocznie mały kształt przejściowy, który został zniszczony, kochała małą towarzyszkę, i wyraz, i uśmiech; nie była dostatecznie wyzwoloną i beznamiętność bramińska chybiła skutku, bo oto płacze... Oczęta małych dzieci, które nas porzucają, oczy dziadków i ich włosy białe, wszystko to—jako?—czyż tego żadna religja nie ważyła się obiecać

nam zwrócić, nawet chrześcijańska, najczulsza i najśłodsza ze wszystkich?..

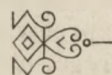
Za pomocą łopaty drewnianej rzucają do rzeki ostatnie główienki, resztki nędznego stosu.

A na stosie sąsiednim stopa pięknej dziewczyny, stopa z palcami odchyłonymi zapada w proch ostatecznie.

(C. d. n.)



Najmłodszy wulkan.



(notatka z podróży).

(Dokończenie).

Z środka tych *hornitos* wznosi się sześć olbrzymich pagórków, które, podczas głównego wybuchu, wyłoniły się z wnętrza ziemi. Najwyższy z tych pagórków, przypominający *studnie* Ower-nji, jest Iorullo, którego krater dosięga wysokości 1315 metrów nad poziomem morza i z 500 metrów panuje nad otaczającą równiną. Widziany z La Playa, wulkan przedstawia kształty podłużne; strona, zwrócona ku północy, jest zupełnie nagą i jałową; podczas gdy południowa część, od podnóża do wierzchołka, pokryta jest bujną roślinnością. Opowiadają, że przed pięćdziesięciu laty góra pozbawiona była wszelkiej roślinności i zaledwie lat temu czterdzieści ukazały się na niej drzewa. Dziś Iorullo porośnięty jest drzewami zarówno stref chłodnych, jak i ciepłych, i nie jest to bynajmniej zjawiskiem nadzwyczajnym. Na północne to właśnie zbocze wulkan wyrzucił największą ilość lawy bazaltowej, zawierającej cząstki skał pierwotnych.

Lawa, zarówno jak popiół, utworzyły tu całe pola, łąny, zwane w Meksyku całym, jak i na Teneryfie *Malpays*. *Malpays* na Iorullo zajmuje obszerną przestrzeń gruntu, wzdętego jak pęcherz: brzegi jego wznoszą się na 12 metrów wysokości po nad poziomem równiny, znanej pod nazwą *Playas de Iorullo*; lecz wypukłość ta wzrasta stopniowo, w miarę posuwania się ku środkowi, gdzie dochodzi do wzniesienia 160 metrów, podług orzeczenia Humboldta. Zdawałoby się, że te lawy i popioły tylko co ostygły, tak są nowe i świeże, gdy się na nie rzuci kamień, dźwięczą jak próżne sklepienie.

Posłuchajmy opowiadania o wycieczce na Iorullo jednego ze znakomitych podróżników i pi-

sarzy p. Leclercq'a prezesa Królewskiego Belgij-skiego Towarzystwa Geograficznego.

„Wybraliśmy się na wulkan dnia 8 listopada. Aby unikać nieznośnego słońca zwrotnikowego, postanowiliśmy wyruszyć przed świtem; o trzeciej rano byliśmy już na nogach. Wraz z przewodnikami i *mozo*, przeznaczonemi do pilnowania koni, tworzyliśmy dość liczną kawalkadę. Konno można dotrzeć do podnóża wulkanu, który wznosi się ostro z łona równiny. Przygotowania opóźniły nasz wyjazd do godziny czwartej rano.

Wyruszyliśmy przy bardzo przyjemnej temperaturze, kierując się prosto ku wulkanowi, którego ciemna sylwetka majestatycznie zarysowywała się na gwiazdzistym sklepieniu. Wspaniałość konstelacji zdawała mi się przewyższać wszystko, co dotąd widziałem; gwiazdy świeciły jak brylanty. Krzyża Południowego nie było na widnokregu, lecz Wielka Niedźwiedzica widzialną była w dolnej części nieba. I jakby ta noc nie była jeszcze dość cudowną, tysiące meteorów przecinało firmament, znacząc swą drogę długimi ognistymi szlakami. Wystarczało podnieść oczy do góry, aby ujrzeć pękające bolidy we wszystkich kierunkach; szczególnie jeden z nich wydał nam się nadzwyczajnym; rzekłbyś, ogromna, rozżarzona kula, jasna jak błyskawica, w biegu swym wybuchła, a tysiączne jej cząsteczki rozsypały się ognistym deszczem w przestrzeni. Nigdy lepiej jak tej nocy nie zrozumiałem wzniosłych słów psalmisty: *Coeli enarrant gloriam Dei*.

Dotarliśmy wreszcie do *Malpaysu*. Ponieważ księżyc nie świecił, pozostawiliśmy koniom swobodę kierowania się ich szczególnym instynktem:

było tak ciemno, że nie mogliśmy dojrzeć brył lawy, wśród których rumaki umiały znaleźć drogę i ciągle kaleczyliśmy sobie kolana i nogi o nie widzialne przeszkody. Po takiej jeździe przez półtorej godziny, zsiadliśmy wreszcie z koni u podnóża wulkanu. Gwiazdy zaczęły już błednąć, lecz musieliśmy przeczekać jeszcze kwadrans, aż świt pozwolił nam przedsięwziąć pieszą podróż. Powierzyliśmy rumaki pieczy *mozo* i puściliśmy się na górę o trzy kwadransy na szóstą.

Na wulkany Meksyku wogóle wchodzić łatwo, lecz wchodzeniu na Jorullo przeszkadza znacznie las dziewiczy, który się rozpostarł na jego zboczach w ostatnich latach: jest to dość uciążliwa praca torować sobie drogę przez tę wybujałą roślinność: bezustannie słychać było tylko trzask gałęzi i szelest uchylanych liści.

Daleko gorzej było, gdyśmy się znaleźli wśród popiołów wulkanicznych, gdzie wszelka węgietacja znika: usuwały się one nam z pod nóg na każdym kroku. Przyszła następnie kolej na pole lawy z wybojami i rozpadlinami, podobne do tego, jakie spotkałem przy wierzchołku Piku Teneryfy; wszystkie wulkany przedstawiają mniej więcej tę samą budowę i zazwyczaj w pobliżu szczytu wejście bywa najtrudniejsze.

O pół do szóstej dosięgliśmy brzegu krateru; nie zużyliśmy przeto więcej nad trzy kwadransy na przebycie właściwego zbocza góry, wznoszącej się 400 metrów po nad Malpays'em. Słońce już weszło od jakiegoś czasu, lecz nie mogliśmy dojrzeć jego tarczy, ukrytej za ścianami, wznoszącymi się nad kraterem. Lejek ten ma dwa kilometry obwodu i do dwustu metrów głębokości; mnóstwo brył lawy zajmuje dno jego. Trudno pojąć, że olbrzymi ten kocioł nie istniał jeszcze półtora wieku temu; mimowoli staramy się przedstawić w swej wyobraźni, czym musiała być ta nagła katastrofa, która za dni naszych wznosiła tu straszne przewroty geologiczne pierwszych wieków ziemi. Z piekącego gruntu dymią setki otworów, świadcząc, że przewroty te są bardzo niedawne. Znalazłem tu temperaturę gruntu, tak podniesioną, jaka była po ostatnim wybuchu Hekli w roku 1878.

Widok wewnętrzny, jaki się przedstawia z brzegu krateru, jest wspaniały i zarazem przerażający. Ściany nie posiadają tej różnorodności barw, jaką podziwiałem w Popocatepetl; starka nie miała tu jeszcze czasu osiąść: czarność przeważa wszędzie, a widok otchłani jest ponury i, jak śmierć, smutny. Rozwarte szczeliny, z których z sykiem wymykają się palące gazy, podobne są raczej do jakichś otworów piekielnych.

Postanowiłem spuścić się do wnętrza krateru z przyjaciółm moim, Don Francisco, i przewodnikami. Zejście to było trudne i niebezpiecz-

ne, aczkolwiek Don Francisco upewniał mnie, że przed sześcioma miesiącami spuszczał się do tego krateru z łatwością, ale od tego czasu zapadały się ściany, zwały się bryły lawy, co zupełnie zmieniło cały wygląd miejsca. Z powodu tych zwalisk, u samego brzegu krateru utworzyła się prawie pionowa ściana, wysokości około trzydziestu metrów: tam trzeba było pomagać sobie rękami i nogami i schodzić jak małpy. Natrafiliśmy następnie na odłamy lawy: są to bryły ogromnych rozmiarów, chociaż z góry wyglądają jak kamyki. Tu musiałem wykonywać skoki prawdziwie akrobatyczne, przeskakiwać z odłamu na odłamek, z krawędzi na krawędź, narażając się co chwila na skręcenie karku. Po upływie dwudziestu minut, przybyłem na dno krateru spocony, jakby w wodzie skąpany, przybyłem sam, przewodnicy bowiem, nie tędy górale, odmówili mi swego towarzystwa.

Trudno powstrzymać się od przygnębiającego wrażenia duszności na dnie tego straszliwego lejka, usianego bryłami lawy, różnemi szczątkami wulkanicznymi i czerwonym popiołem: jest to okropne miejsce, skąd chciałoby się jak najprędzej uciec. Ze wszystkich stron, ze ścian wystają ostre zakończenia, z których dymi mnóstwo otworów, *respiraderos*. Niemało byłem zdziwiony, ujrawszy na dnie tego czarnego piecyzka trzy nędzne drzewiny, które zdołały zapuścić korzenie wśród popiołu.

Zanurzyłem termometr w jednej szczelinie, lecz gorąco było tak wielkie, że chcąc go wyciągnąć, upuściłem go. Zmartwiony tą zgubą, używałem wszelkich sposobów, aby odzyskać mój przyrząd; w ciemności, zalegającej szczelinę, na głębokości czterech stóp świeciło uszko instrumentu. Urwałem od jednego z drzewek gałązkę, którą zatemperowałem w formie haczyka i po długich usiłowaniach udało mi się w końcu uchwycić dezertera: wskazywał temperaturę 67° C; przewyższało to o 11 stopni temperaturę, jaką stwierdził tu na sześć miesięcy przedtym amerykański podróżnik Howard Conkling. Albo temperatura wciąż się podnosi, albo Conkling nie mierzył jej na większej głębokości.

Gdy tak byłem zajęty memi obserwacjami, przewodnicy, którzy pozostali na gżemsiu o pięćdziesiąt metrów wyżej, popełnili nieostrożność, mianowicie wystrzelili z fuzji, nie myśląc o tym, że następstwem takiego wybryku mogło być zwalenie się części ściany; głośne bardzo echo było odpowiedzią na huk strzału. Zabrawszy na dnie krateru kilka próbek lawy, zupełnie jeszcze gorącej, brnąłem znów przez odłamy, kalecząc sobie ręce na ostrych powierzchniach. Gdy stanąłem u stóp prostopadłej ściany, postanowiłem wdrapać się po niej z najbardziej stromego boku

dla uniknięcia manowców. Przylepiłem się prawie do ściany, czepiając się rękami najmniejszych występów, lecz wkrótce skała stała się tak kruchą, że osypywała się pod moimi nogami: miłując jeszcze życie, zawróciłem z drogi, co też jest bardzo niebezpiecznym i trudnym na pionowej ścianie; wyląknęłem się bardzo, gdy oberwałem nogą ogromny odłam skały, wskutek czego położenie moje stało się nader krytycznym: z lewą nogą w szczelinie, długi czas nie mogłem ani posuwać się naprzód, ani cofać, z obawy nowych obłamów skały, zebrawszy jednak całą odwagę i zręczność, zdołałem wreszcie wydostać się z tego zdradliwego krateru.

Wróciwszy na brzeg krateru, zastałem śniadanie, przyrządzone przez moich przyjaciół. Po małym posiłku, podczas gdy towarzysze opróżniali butelkę *mezcal'u* (obrzydliwa wódka meksykańska), udałem się sam na wierzchołek góry, gdzie zdumiała mnie potężna roślinność: pośród *igueros*, *parotillas* (rodzaj akacji), *tepehuajes*, spostrzegłem gojawę, usianą dojrzałymi owocami, których się odejść nie mogłem: gojawa jest jednym z najdelikatniejszych owoców zwrotnikowych. Zauważyłem również w wysokiej trawie cudną roślinę o szerokich liściach, znaną w tym kraju pod nazwą *capitaneja*.

Ze szczytu Iorullo widok jest wspaniały: chociaż wulkan nie dosięga wysokości gór okolicznych, te ostatnie zbyt są oddalone, by zasłaniały widok. Panuje się tu nad malowniczą doliną *de las playas*, której znaczną część zajęła lawa; na północy ciągnie się łańcuch gór *los Organos*, tak nazwany z powodu swego podobieństwa do olbrzymich organów; góry te najbliższe znacznie przewyższają Iorullo. Na zachodzie wznosi się majestatyczny *Tancitaro*, a nawet z odle-

głości czterdziestu mil można rozróżnić śnieżny szczyt wulkanu Colima, oddalonego zaledwie o kilka mil od oceanu Spokojnego. Czynny ten wulkan, leżący na granicy stanów Colima i Jalisco, ma 3866 metrów wysokości. Słyszałem od krajołwoców, że Colima i Iorullo łączą się ze sobą.

Chciałem obejść cały krater dokoła, aby nacieszyć się całością panoramy, której połowa dla oczu moich ukryta była za przeciwną ścianą, ale musiałem wracać do towarzyszy, którzy chcieli wyruszyć w powrotną drogę przed upałem. Zdążając jednak ku nim, zmyliłem drogę i zamiast do la Playa, dostałem się do dziewiczego lasu, gdzie w żaden sposób nie mogłem natrafić na ślad ścieżki, jaką zwykle toporem wyrąbują Indianie. Tu natrafiłem na prawdziwe męczarnie wśród strasznego gąszczu, spotęgowanego pasorzytami roślinami; posuwałem się z trudem, łamiąc gałęzie, przecinając liany, odchylając liście; jedna sucha gałąź omal mi nie wybiła oka; mało brakło, żebym nie nadeptał na grubego węża, który unknął w krzaki: obrzydliwy ten płaz w białe i czarne prążki, miał, o ile mi się zdawało, że cztery stopy długości.

Tymczasem towarzysze moi oczekiwali mnie u podnóża góry; ich strzały z fuzji, na które odwiadałem z rewolweru, oznajmiły mi, że się znajdują niedaleko od nich. Odnalazłem ich, zdyszany, spocony, z twarzą i rękami okrwawionymi, z okiem w bardzo złym stanie. Siedliśmy na koń, aby się przedostać przez Malpays.

Do hacjendy wróciliśmy około południa."

SPROSTOWANIE. W № 49 w art. p. t. „Najmłodszy wulkan“, skutkiem nieuwagi korektorskiej, mylnie wydrukowano nazwę miejscowości „Patrenaro“ zamiast Patzcuaro, jak być powinno.

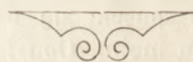


Książki i Czasopisma.

Lud, organ Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie, pod redakcją K. Potkańskiego i S. Udzieli. Tom X. zeszyt III. Na wstępie zeszytu znajdujemy ciekawy artykuł St. Estrejchera p. t. „Wypraszenie od kary śmierci w obyczajach ludu naszego“; dalej Br. Gustawicz podaje wiadomości „O korzeniach czarodziejskich w lecznictwie ludowym u nas i gdzieindziej“; Józef Cieplik opisuje Boże Narodzenie w Robce i w okolicy; Seweryn Udziela daje „Kilka słów o strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sądeczyczynie“, ten

sam autor pisze o „Muzeum etnograficznym“, wreszcie Fr. Bujak podaje „Materiały historyczne“. Zamykają bogatą treść zeszytu: Rozmaitości, Przegląd czasopism, Oceny i sprawozdania, Bibliografja.

Fotograf warszawski, Nr. 11 zawiera artykuły: Sposób pigmentowy przez St. Szalaya; Osłabiacz Farmera w świetle najnowszych badań przez P. Lebedzińskiego; Dżapozytywy na pigmentcie i kolodjonie przez tegoż. Drobne wiadomości; Z Towarzystw fotograficznych. W dziale ilustracyjnym znajdują się zdjęcia hr. J. Tysskiewicza, p. Dobrzańskiego i d-ra J. Kleinadla.





ROZMAITOSCI.

Poszukiwacze jaj ptasich. Skaly nadmorskie w Flamborough, nad morzem Północnym, wznosząc się na 150—400 stóp nad powierzchnią morza

W szczelinach tych skał gnieźdzą się, składając jaja, całe chmary ptactwa wodnego. Zbiór jaj odbywa się w maju i czerwcu. Mężczyźni i kobiety udają się wtedy na poszukiwania, mniej lub więcej szczęśliwe. Jaja te przedstawiają wartość nie tylko jako produkt spożywczy, ale poszukiwane są z powodu swej piękności, świetnej nieraz i niezwyklej barwy. Najładniejsze są jaja nurków — niebieskie; inne są żółte, zielone, zielono-czerwone, brązowe, białe; bywają też centkowane, nakrapiane; niektóre w prążki białe i szare.

Są dwa sposoby dostania się do szczelin skalnych. Jeżeli skała niedostępna jest od strony wierzchołka, poszukiwacze zaczynają od dołu, wdrapując się po długiej żerdzi do wysokości jednego piętra aż do wystającego cypla. Wtedy rzucają linę z węzłami towarzyszący. Manipulacja ta powtarza się dalej do następnego piętra, dopóki wszyscy w ten sposób nie dojdą do wierzchołka. Wtedy dopiero zaczyna się właściwa czynność.

Na brzegu skały kładą prostopadle belkę, do której przymocowana jest lina 6—8 centymetrów średnicy, dochodząca do 300 metrów długości. Na końcu liny przytwierdzona deseczka, na której siada poszukiwacz gniazd, przywiązany do niej tak mocno, że spaść nie może, chociażby nawet stracił przytomność. Do ręki ma przymocowany sznur cieńszy, zapomoć którego daje towarzyszący sygnały. Wtedy ośmiu lub dziesięciu ludzi spuszcza go ostrożnie wzdłuż skały, wystającej nad falami morza. Śmiałek, zawieszony na końcu liny, zsuwa się, przechodzi z urwiska na urwisko, od szczeliny do szczeliny, od jednego wydrążenia do drugiego. Zagłada we wszystkie rozpadliny, zbierając cenny produkt. Zabiera jaja ręką lub siatką, i składa w przewieszane na ramionach worki. Chcąc zmienić miejsce, wprawia linę w ruch wirowy, przerzucając go w żądany punkt skały. By wznieść się lub opuścić, daje znak drugim sznurem. Trzeba-bezwątpienia posiadać dużo odwagi i zimnej krwi, aby móc opuszczać się w ten spo-

sób dwadzieścia lub trzydzieści razy dziennie na setki stóp.

Poszukiwacz gniazd naraża się na mnóstwo niebezpieczeństw. Lina, trąc się ustawicznie o ostre krawędzie skały, może się przetrzeć; może się skrócić też i spowodować rozbicie zawieszzonego śmiałka. Nawet przy skręcaniu przez samego siebie liny, grozi mu także rozbicie głowy lub ciała o chropowatości skały. Najniebezpieczniejszymi są jednak kamienie, odrywające się w czasie takiego poszukiwania.

Jeden z weteranów takiej wojny z ptakami, opowiadał straszną przygodę, jaka mu się raz zdarzyła:

Pewnego dnia ujrzał odrywającą się ogromną bryłę kamienną na trzydzieści stóp wprost nad sobą. Był pewny, że zdruzgotuje mu głowę, Nie było żadnego ratunku. Instynktownie tylko osłonił rękami głowę. Ciężar, padając, nie złamał mu ręki, ale pozbawił na lat parę władzy i możności polowania na ptasie jaja.

Niekiedy ludzie, czekający na wierzchołku skały, słyszą rozpaczliwy krzyk. Przerażeni, schylają się, aby dojrzeć, co się dzieje w przepaści. Niestety! częstokroć nie już nie zobaczą lub ujrzą towarzysza swego w odmęcie morza. Ciągną linę napowrót — dziwnie lekka: przetała się, a na końcu nic niema. Czasem towarzysz zostaje zabity odłamkiem skały, i wyciągają tylko trupa. Mógł dostać zawrotu głowy i stracić równowagę, jakkolwiek mocno był przywiązany. Rzemięto to często śmierć niesie, ale daje też znaczne zyski, są bowiem śmiałkowie, którzy potrafią w ciągu jednego dnia zebrać 2—3 tysięcy jaj.

A. W.

Wprowadzenie żelaza do organizmu. Stacja agromedycyńsko-bakterjologiczna w Wiedniu podjęła bardzo zajmujące doświadczenia, by wprowadzić do organizmu ludzkiego sole żelaza w sposób pożyteczny. Żelazo, jak wiadomo, odgrywa ważną rolę w naszym organizmie i jako środek leczniczy; zwykle jednakże preparaty żelaza, które się zażywa, nie osiągają należytego skutku, ponieważ organizm nie dokładnie je sobie przyswaja. Asymilacja żelaza odbywa się o wiele lepiej, jeżeli żelazo wprowadza się do organizmu za pomocą pokarmów roślinnych. Otóż chodzi o taką hodowlę niektórych roślin, ażeby wchłaniały w swe tkanki większą, niż normalna, ilość żelaza. Jak się pokazało, najczęściej nadaje się do tego szpinak. Wprowadzając w odpowiedni sposób preparaty żelaza do ziemi, na której hodzi się szpinak, osiągnięto taki rezultat, że szpinak zawierał siedmiokrotną ilość żelaza, niż go zawiera w zwykłych warunkach. Taki szpinak będzie wskazanym pokarmem przy anemji.

„Przemysłowiec”

Od Redakcji.

Z powodu powołania na Daleki Wschód d-ra L. Kozickiego, który prowadził redakcję „Życia Zwierząt“, zmuszeni jesteśmy na pewien czas wstrzymać wydawanie dalszych zeszytów. Prosząc Sz. prenumeratorów o cierpliwość i uwzględnienie tak wyjątkowego wypadku, mamy nadzieję, że w niedługim czasie będziemy mogli ogłosić o wznowieniu tego wydawnictwa.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Księgarni T. Paprockiego i S-ki
Nowy-Świat 37.

W. Bölsche Pochodzenie człowieka z rysunkami w tekście i z rysunkiem „rodziny pierwotnej“ na okładce 60 kop.

Fr. Drlina prof. Rozwój umysłowy ludów Europy 2 rub.

Eng. Dühring Wyższe wykształcenie zawodowe kobiet i współczesna nauka uniwersytecka z dodaniem uwag o zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego, 80 kop.

A. Niemojewski. Stanisław Wyspiański studjum, 75 kop.

Wysyłka za zaliczeniem pocztowem.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KSIĘGARNIA NAUKOWA

Warszawa, Krucza № 44.

poleca **NOWOŚĆ:**

Marjusz Zaruski Szturman marynarki handlowej

Współczesna Żegluga Morska

Doki, budowa okrętów żaglowych i parowych, przybory żeglarskie
z 82 rysunkami w tekście

Do nabycia we wszystkich księgarniach
cena kop. 60.

Mleczarnia Polska

== J. DUTKIEWICZ i S-ka ==
w Warszawie, 12-6

GŁÓWNA:

róg Wilczej i Kruczej Nr. 16.

FILJA:

ulica Krucza Nr. 44.

Telefon 4464.

„NAJNOWSZA MAPA KRÓLESTWA POLSKIEGO” kolorowana

wielkości 62×53 centm. z podziałem na gubernje, wykazem dróg żelaznych, szosowych i wskazaniem odległości na nich. Mapa, naklejona na płótnie 50 k., za przesyłkę i opakowanie 20 k. Mapa w teczce ozdobnej kolorowej ze złoceniami 80 kop., z przesyłką pocztową 1 rb. Mapa na półwałkach do zawieszenia na ścianie 90 kop., z przesyłką pocztową 1 rub. 20 kop. Mapa ścienna na wałkach 1 rub. 20 kop., z przesyłką pocztową 1 rub. 50 kop.

Do nabycia w Administracji tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA” Hoża 52.

Wielka zupełna wyprzedaż! w składzie dywanów i artykułów meblowych

HENRYKA RADECKIEGO

Marszałkowska 112, 1-e piętro front, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 50. Oaza Bu-Sada, przez J. N. (z rysunkami).—Celuloid, przez Wł. Z.—Rozwój handlu wszechświatowego i stosunek jego do odkryć naukowych w wieku XIX, przez Władysława Zarembinę.—Miasta Dłekięgo Wschodu, przez d-ra Antoniego Groszlika (z rysunkami).—Indje, przez Piotra Loti'ego, tłómaczył Józef Jankowski. — Najmłodszy wulkan, przez J. N.—Książki i Czasopisma.—Rozmaitości.—Od Redakcji.—Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści:” Chancellor. Notatki podróżnego przez Juljusza Verne, str. 57—72).

Agientura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszera,
Pioirkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.